

Tytuł oryginału:
Gitarowy bohater, cz. 2

Autor: Mateusz Borda

Zabrania się rozpowszechniania, edytowania oraz jakichkolwiek innych działań na poniższym dokumencie bez zgody i wiedzy autora.

Tekst piosenki jest wolnym tłumaczeniem utworu grupy Aerosmith – Movin' Out i nie stanowi własności autora dokumentu.

Przez zasunięte kotary w oknach przebijały się gorące promienie słońca, które za kilka minut miało osiągnąć szczytowy punkt swojej codziennej wędrówki po niebieskim sklepieniu. Kurz wisiał w powietrzu, nadając promieniom niemalże materialny wygląd. Walająca się po pokoju odzież, w tym bielizna* sugerowały iż ich właściciele bynajmniej nie pozbyli się jej ponieważ była brudna.

Na jednym z łóżek mężczyzna, niemalże niewidoczny spod kobiet leżących na nim otworzył oczy.

– Przesuńcie się, dziewczynki - powiedział lekko ochrypłym, ale melodyjnym głosem. - No już, chcę wstać.

– Steven... - szepnęła jedna z dziewcząt na wpół śpiącym głosem. - Gdzie idziesz?

Odgarnął jej rękę przesuwającą się po jego torsie, sięgnął po szampana leżącego na podłodze i pociągając głębokiego łyka, dopił resztki znajdujące się na dnie. Jedna z dziewczyn jęknęła przez sen. Mężczyzna wyśliznął się z objęć nagich kobiet i chwiejnie wstał z łóżka. Próbował znaleźć swoją bieliznę, jednak musiał zadowolić się tylko kocem, który owinał sobie wokół pasa. Przeciągnął się, ziewając. Zręcznie omijając butelki walające się po podłodze podszedł do okna i rozsunął zasłony.

Wraz z oślepiającym światłem dnia, do pokoju wdarły się oślepiające błyski aparatów obrazkowych. Tłumy ludzi,** których od okna dzielił tylko mizerny murek, napierali nań, wykrzykując i skandując różne imiona. Gdy ujrzeli Stevena, wrzawa podniosła się przeradzając w dziesiątki oklasków. Kilka dziewcząt, widząc półnagiego mężczyznę w oknie zapiszczało z wrażenia. Z daleka kilka olbrzymich, trzymetrowych trolli*** z nie mniejszymi maczugami na plecach uważnie obserwowało dom.

– O cholera! - krzyknął mężczyzna gwałtownie zasuwając kotary. Jedna z dziewcząt, wysoka, szczupła brunetka przewróciła się na bok, odsłaniając swoje ciało. Jej długie, odstające uszy oraz małe piersi sugerowały elfickie pochodzenie, jednak ognisty temperament o którym przekonał się tej nocy, stanowczo temu zaprzeczały.

– Co się stało, Steven? Masz ochotę się zabawić ze mną i dziewczynkami? - powiedziała rozmarzonym głosem, mierząc go wzrokiem.

– Nie mam czasu, Kelly! Gdzie reszta?

– Powinni być na górze, kocie - zamruczała dziewczyna, po czym przewróciła się na plecy, rozkładając nogi. - Na pewno nie masz ochoty się zabawić?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo chcę - skrzywił się Steven. - Ale za oknem czekają na mnie dziesiątki osób, a te marne kilka kamieni, udające mur długo nie wytrzyma i wkrótce zaroi się tutaj od aparatów obrazkowych! - Posłał dziewczynie buziaka, założył slipki leżące na podłodze i wybiegł z pokoju.

* Głównie damska.

** Conajmniej większość była ludźmi.

*** Trolle miały to do siebie, że były proporcjonalne inaczej. Osobnik mierzący trzy metry wzdłuż, wcale nie mierzył tyle samo wszere. Wręcz przeciwnie - widok wysokiego na trzy metry i szerokiego na metr osobnika powodował co u niektórych śmiech który był tłumiony w pewien znany tylko trollom i ofierze sposób.

Wprost z zabałaganionego, dusznego pomieszczenia wpadł do kuchni która wyglądała niczym małe miasteczko po przejściu tornado. Klucząc między popękkanymi talerzami, butelkami i resztkami jedzenia podszedł do szafki z jedzeniem.

– Jak zwykle pusto - powiedział rozglądając się po pustym wnętrzu szafki. Podniósł z ziemi kawałek chleba i pogryzając czerstwe już pieczywo, ruszył na górę skrzypiącymi ze starości schodami.

Gdy wszedł na górę jego oczom ukazał się obskurny korytarz z zalanymi ścianami, niczym z niskobudżetowych filmów grozy. Stare, odstające tapety ukazywały jak wiekowy jest ten budynek. Po dywanie przebiegła mysz, ciągnąc za sobą kawałek makaronu.

Steven otworzył pierwsze drzwi po lewej stronie i wszedł do pokoju. W zalanym słońcem pomieszczeniu stały dwa łóżka a po podłodze, oprócz bielizny, wały się także wszelkiego rodzaju instrumenty muzyczne. Mężczyzna podszedł do długiej, metalowej rurki przysypanej ubraniami, podniósł ją i otrzepał ze zwisających biustonoszy.

– No tak, tu jesteś - powiedział do rurki, która okazała się makrofonem na stojaku z którego zwisało kilka różnokolorowych szalików.

Steven podszedł do łóżka przy oknie z którego wystawała para nóg przykrytych kocem i szczupłymi blondynkami.

– Tom, wstawaj! - powiedział potrząsając mężczyzną.

– Daj mi jeszcze chwilę. - jęknął blondyn.

– Nie mamy czasu! Masz pięć minut. - powiedział po czym podszedł do drugiego łóżka w przeciwnym kącie pokoju. Podniósł leżącą na podłodze butelkę szampana i wylał resztki płynu na leżącego.

– Co jest?! - krzyknął mężczyzna podrywając się z łóżka. Długie, kręcone włosy opadały na poobijaną i posiniaczoną twarz a jego zgarbiona postura zdradzała, że większość życia spędzał w trybie siedzącym.

– Ubieraj się i złaż na dół, Joey.

– Jest Sobotnik, daj się człowiekowi wyspać - wyjęczał, wycierając ściekający po twarzy szampan.

– Jeśli nie chcesz, żeby zaroilo się tu od pismaków z Codziennej.

– O cholera. - jego oczy rozszerzyły się a na twarzy pojawił się uśmiech. - Będziemy w Codziennej!

– Tak, będziemy. - przyznał Steven. - Ale jeśli się nie pośpieszymy, zamieszczą tam nasze półnagie zdjęcia i odpowiednio je podpiszą!

– A do tego sługusy Leo Fendera złożą nam nieciekawą wizytę. - dodał Tom, rozglądając się w oknie. - Stoją tam cierpliwie, ale do czasu.

– Uśmiech z twarzy Joeya poszedł na kawę, a na jego miejsce wszedł nieprzyjemny grymas.

– Lepiej chodźmy - powiedział, wstając z łóżka.

Wyszli na korytarz i ruszyli chwiejnym, skacowanym krokiem w stronę następnych drzwi.

– Bradley! Wstawaj! - ryknął Tom, wpadając do pokoju. Dopiero przy innych członkach zespołu okazywało się jaki jest wysoki.

Rozejrzawszy się po pokoju dostrzegli krępego mężczyznę z trzydniowym zarostem na twarzy, leżącego na łóżku, wyraźnie wbrew jego woli. Mężczyzna, przypięty

różowymi kajdankami do łóżka bezsilnie próbował wyrwać się z niewoli. Komunikację ze światem utrudniała mu szmatka wsadzona do ust i zawiązana wokół głowy. Intymną część jego ciała zasłaniał tylko czarny kapelusz.

Siedzące po drugiej stronie dwie puszyste kobiety w bieliźnie, której na pewno nie zakłada się pod spódnicę na niedzielne msze, chichotały spoglądając na zdziwionych mężczyzn.

- Hmmp! - jęknął Brad.
 - Bradley, wstydź się! - zaśmiał się Steven.
 - Hmmp! - powtórzył jeszcze głośniej.
 - Co mówiłeś?
 - Hmmp!!!
 - No już, już. Zdejmuję ci to. - jednym szarpnięciem Steven ściągnął szmatkę z ust mężczyzny.
 - Jak dobrze was widzieć! - powiedział przerażony. - Te kobiety są nieobliczalne! - wskazał na podśmiewające się w kącie dziewczyny.
 - Właśnie widzimy - zaśmiał się Joey uwalniając Bradleya z kajdanków. - Mam nadzieję, że masz w szafie jakieś ubranie pasujące na mnie, bo moje zaznało bliskiego kontaktu z resztkami wczorajszego jedzenia.
 - Coś się znajdzie. W domu na Słonej jest wszystko - usiadł na skraju łóżka i uśmiechnął się do kobiet w kącie puszczać im oko.
 - Ubierajcie się, a ja pójde po Joego - powiedział Steven.
- Wychodząc z pokoju, zatrzymał się w drzwiach.
- Wie ktoś, gdzie on może być?
 - Pewnie siedzi w moim gab... - Tom urwał, nasłuchując dźwięków trzaskanych garnków z dołu.
 - O wilku mowa. Za pięć minut macie być na dole. Ubrani - dodał, zerkając na Brada.

Gdy Steven zszedł do pokoju oblepionymi zdecydowanie nie gustownymi tapetami, Joe leżał odprężony na kanapie. Ubrany w czarne, obcisłe spodnie oraz luźną kamizelkę odpoczywał po niewątpliwie ciężkiej dla ducha i ciała nocy. Obok niego, oparta o stół, stała złocistomiodowa gitara o opływowym, przyjemnym dla oka kształcie.

Steven rozejrzawszy się po pokoju, dostrzegł niską, ale szczupłą, w przeciwieństwie do kobiet Brada na górze, dziewczynę. Na oko dziewiętnastoletnia o ciemnych, kręconych, średniej długości włosach, opadających na, Steven musiał to stwierdzić, bardzo ładną twarz krzątała się w kuchni, parząc kawę. Gdy spostrzegła jego wzrok na sobie, na jej policzki wstąpił lekki rumieniec.

- Cześć – powiedziała nieśmiało.
 - Uszanowanie pięknej pani – Steven puścił oko.
 - Jestem Meg. - odparła dziewczyna, patrząc na niego swoimi dużymi, brązowymi oczyma.
- Podszedł do obdrapanej, niegdyś ciemnobrązowej, skórzanej kanapy i usiadł na brzegu, szturchając Joego. Ten, jakby wyrwany z wielogodzinnej medytacji, otworzył oczy i zdumiony spojrzął na Stevena.
- Wstałeś już – powiedział Tyler. - Chłopaki już schodzą.
 - To była niesamowita noc. - przeciągnął się Joe.
 - Oj, była – odezwała się z tyłu Meg, chichocząc pod nosem. Joe odwrócił się do niej odpowiadając promienistym uśmiechem.
 - Tak w ogóle – wtrącił Steven – to skąd się tu wzięłaś?
 - Przez nieoczekiwany splot wydarzeń i wypadków. Długo by opowiadać.
 - A wiesz coś może o tych tłumach na zewnątrz? - spytał Joe, wyciągając cygara z drewnianej cygaretki z wygrawerowanymi inicjałami – Zapalisz? - powiedział do Stevena.
 - Dzięki – powiedział biorąc cygaro. - Za oknem czekają na nas tłumy ludzi, a jak zdążyłem zauważyć, wielu z nich nie ma wcale ochoty nas radośnie przywitać i pójść z nami na piwo.
 - Bo wiecie, wczoraj daliście naprawdę niesamowity występ. Ludzie wpadli w euforię. - przestrzeń wypełnił zapach zapalanych cygar – Gdy o północy zesłiście wreszcie ze sceny, ludzie tak głośno wiwatowali i domagali się jeszcze więcej, że musieliście wyjść i zagrać. No, ale nie można grać wiecznie, prawda? - ciągnęła. - Po pięciu bisowych piosenkach szybko uciekliście ze sceny i odjechaliście swoim powozem. Miałam szczęście, że akurat zaprzęgałam wasze konie – Joe podszedł wtedy do mnie, pocałował i powiedział, że jeśli cenie życie pięciu młodych, wschodzących gwiazd, mam szybko odjechać jak najdalej stąd. - zaśmiała się. - Co miałam innego zrobić? Odjechaliśmy tak szybko, że nawet nikt nas nie zauważył.
 - Ładna historyjka – odezwał się głos ze schodów, należący do Joeya. - A jak to się ma do tych wszystkich ludzi?
- Wraz z Tomem i Bradem, znieśli na dół duże, czarne futerały połyskujące w promieniach wpadającego słońca magicznym blaskiem. Przy rączce miały zamontowane zamki, które jednak nie były w niczym podobne do tych klasycznych na klucz – te miały dziwny, kwadratowy drewniany panel na którym widniały numery od 1 do 9. Po naciśnięciu cyfr w odpowiedniej kolejności zamek ustępował otwierając zawartość walizki. Był to jeden z pierwszych tego typu rozwiązań użytych przy wykorzystaniu magii Ledejskiej.*
- Schowałem tam nasze gitary, oraz Twój makrofon Steven. Jeden pusty futerał został dla ciebie, Joe. - rzekł Brad siadając na fotelu.

* Która była powszechnie uważana za niepotrzebną – co komu po miedzianych drutach wychodzących z dwóch końców owalnych przedmiotów, kształtem przypominających paluszki do jedzenia, które to druty, przy kontakcie ze skórą wywołują uczucie ukłucia.

– Pytaliście, co dalej – ciągnęła Meg. - A więc, gdy tylko odjechaliśmy, tłum domagał się coraz więcej i więcej. Radosne nawoływanie was do wyjścia na scenę w końcu znudziło się motłochowi i zaczęli coraz bardziej agresywnie skandować wasze imiona. W końcu, gdzieś w tłumie powstała bójka, za nią pociągnęła się następna. Straż miejska musiała interweniować, ale co kilkadziesiąt osób poradzi z tyloma tysiącami pijanych, gotowych na wszystko dla waszej muzyki ludzi. - mówiła, biorąc od czasu do czasu łyk gorącej kawy. - Kilka minut później na całe miasto wylało się tysiące ludzi w istnym stadium euforii muzycznej. Powybijane szyby w sklepach, zdewastowany pomnik Dio Wielkiego oraz wielki napis „Aerosmith” na murach miasta, to tylko część wczorajszych zamieszek. A wszystko dzięki wam – dodała, śmiejąc się. - Ale nie ma co się śmiać – Straż Miejska was poszukuje, Burmistrz Red obwinia was za to wszystko. A Straż ma podobno jakiegoś człowieka, który został wczoraj dość mocno pobity przez jednego z was. - spojrzała na znacznie na posiniaczonego Joeya.

– Wiesz coś o tym? - spytał Brad, sięgając po kanapki, zrobione wcześniej przez Meg.

– Ten krasnolud, organizator koncertu, nie chciał nam zapłacić przed występem, a tak było wyraźnie napisane w umowie – najpierw pieniądze, potem koncert. Przeklęty krasnolud – splunął na ziemię. - Musiałem go doprowadzić do porządku, ale trzymał się, drań. - dodał, gładząc siniaka pod okiem. - Koniec końców – mamy pieniądze oraz sławę.

– Ile nam zapłacił? - wymamrotał z pełną buzią.

– Około cztery tysiące funtów. - odparł Joey a oczy innych członków zespołu rozszerzyły się.

– To więcej, niż kiedykolwiek wszyscy z nas mieli w rękach! - powiedział radośnie Tom. - Gdzie dałeś te pieniądze?

– Wydaje mi się, że zostawiłem w... - urwał nagle. - Jak ci tam? Meg? Meg, gdzie stoi nasz powóz?

– Nie uwierzysz, ale w nocy byliście tak pijani, że sprzedaliście powóz jakiemuś przechodniowi za kilka butelek trollowego piwa które akurat niósł. Pewnie dziwicie się, skąd to wszystko wiem, ale... - przerwała, gdy w słowo wszedł jej Joe, dogasając cygaro.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że pieniądze były w tym wozie?

– Tak mi się wydaje. - odparł ze smutkiem Joey.

– Cholera! Dlaczego, jak dopisze nam szczęście, to zawsze musi się stać coś, co zgasi ten ogień radości? - Brad walnął ręką w stół.

– Tyle pieniędzy – dodał w zadumie Tom. - Moglibyśmy za to kupić co najmniej trzy tysiące puszek piwa.

– Chłopaki, nie ma co siedzieć i płakać nad rozlanym mlekiem. Wciąż mamy na karku Straż Miejską, Burmistrza oraz Fendera. Lepiej pomyślmy spokojnie, co robić dalej. - rzekł spokojnym głosem Steven.

Wtem, zza drzwi frontowych dobiegło głośne łomotanie oraz niski, gruby głos.

– Otwierać! Funkcjonariusz Hank, Straż Miejska!

– Ja wiem, co robić – powiedział Brad. - Wiać!

Minutę później, cała szóstka biegła boczną alejką wybiegającą na Plac Mady, tą samą gdzie kiedyś Joe znalazł gitarę. Ledwo zdążyli wymknąć się tylnymi drzwiami z kuchni, a już Straż wyłamała drzwi frontowe. Biegli teraz przed siebie, z futerałami pod pachą, nie bardzo wiedząc, co robić dalej.

Pewien człowiek ubrany w czarny elegancki płaszcz grzebał w wielkim kontenerze na śmieci, jakby usiłował wepchnąć doń worek z czymś na kształt człowieka w środku. Widząc grupę pędzących prosto na niego, dziwacznie ubranych ludzi, usunął się w cień* schodząc im z drogi.

Gdy zdyszani wbiegli na Plac Mady, mogli wreszcie odpocząć. Na Placu bowiem, szczególnie w dzień Sobotnika, kręciło się mnóstwo ludzi** w między których można było się wtopić bez obaw o rozpoznanie.

– Chodźmy do 'Pod Toporem' – zaproponował Joe. - Zastanowimy się spokojnie, co robić dalej.

W milczeniu ruszyli w stronę owego krasnoludziego baru, który był jednym z ulubionych miejsc na wieczorne spotkania Joego. Rozglądając się, czy nikt ich nie rozpoznał, weszli ukradkiem do knajpy, taszcząc za sobą instrumenty.

'Pod Toporem', jak każda szanująca się krasnoludzia knajpa, była umieszczona w piwnicy, około 2 metry pod ziemią. Gdy weszli do przestronnego pomieszczenia do ich nosów dostał się wilgotny, lekko zgniły zapach ziemi, zwietrzałego piwa oraz dymu papierosów. Krzesła były jeszcze poustawiane na większości stołów. W barze, oprócz dwójki ludzi siedzących w zacienionym kącie*** i szepczących do siebie na ucho, nie było nikogo. Barman spojrział na nich, skinął w stronę stolika po czym splunął na jeden z kieliszków i wrócił do czyszczenia.****

Usiedli, spoglądając ukradkiem na mężczyzn w czarnych kapturach. Zamówili sześć dużych kufli Kamiennego Prawdziwego, a gdy barman z hukiem postawił je na stole i odszedł, wracając do swojego zajęcia, pociągnęli łyk orzeźwiającego trunku po czym pochylili się nad stołem.

– Więc, co robimy? - spytał Tom.

– Nie możemy zostać w Ojacię, wszyscy nas tutaj szukają. - odparł Brad, pociągając łyk piwa.

* Co było teoretycznie niemożliwe, ponieważ w samo południe nigdzie nie można było znaleźć cienia, jednak kim byliby płatni zabójcy, gdyby nie opanowali umiejętności krycia się w cieniu, mimo jego braku, doprowadzając ją niemal do poziomu dzieła sztuki.

** Głównie ludzi. Bowiem Ojacię, znane także pod nazwą Zgniłe Jabłko* było mieszaniną wszystkich ras i narodowości.

*** Zauważyliście, że w każdym barze, niezależnie od wszystkiego musi być dwójka ludzi, siedzących w kącie, spoglądających spode łba i zapewne knujących nieczne plany? Zero oryginalności.

**** Znowu to samo. Każdy barman, w każdej knajpie wybiera kieliszki własną śliną. Kompletny brak inwencji twórczej.

* Nie pytajcie dlaczego. Chcecie wiedzieć? No dobra. Na wschodnim wybrzeżu Wielkiego Kontynentu istnieje wielkie miasto, z wielkimi budynkami, wielkimi ulicami i możliwościami zrobienia wielkich pieniędzy. Znane jest pod nazwą Wielkie Jabłko. Ojacię, nazywane Zgniłym Jabłkiem, jest w gruncie rzeczy bardzo podobne – zamieńmy tylko przymiotnik 'wielki' z powyższych słów.

- Powinniśmy zniknąć na jakiś czas z miasta, ulotnić się. - powiedział Joey, zapalając cygaro. - Chce ktoś?
- Steven wziął jedno, powąchał, wsadził do ust i zapalił puszczając okrągłe obłoczki.
- Hmm... co powiecie, jeśli wyjedziemy do Wielkiego Jabłka? - spojrzał na nich pytająco. - Na kilka tygodni. - dodał.
- Pogracie trochę tam, kto wie, może to będzie wasza szansa? - odezwała się Meg, wycierając wąsa z piany. Uśmiechnęła się do Joego który dotychczas siedział cicho.
- Słyszałem, że jest tam pewien klub, nazywa się 'Max's Kansas City'. - odparł.
- Max's Kansas City? Żeby tam zagrać, trzeba rezerwować miejsca kilka miesięcy przed. - odparł z westchnieniem Joey.
- Spróbujcie, może się wam uda. Nie macie nic do stracenia – powiedziała Meg, patrząc na Joego swoimi głębokimi, brązowymi oczami.
- Czy wszyscy są są? - Tom wstał, wznosząc kufel.
- Nic do stracenia... - szepnął Joe wstając.
- Jestem za. - powiedział Joey.
- Jak wy, to i ja też. - Brad dołączył do reszty. Spojrzeli wyczekująco na Stevena.
- Chyba nie mam wyboru, chłopaki. - zaśmiał się. - Jestem z wami. - klepnął przyjacielsko Joego w plecy.
- No cóż – odparła Meg, podnosząc się. - pozostaje nam tylko wypić za Aerosmith!
- Kufle stuknęły w dźwięku sławy i glorii.

Gdy Cyrkus* wybił siódmą, słońce chyliło się już ku zachodowi a wóz z sianem zaprzężony w dwa płoże konie stanął nagle przed bramą miejską.

- Hola! Gdzie panienka chce o tej porze wyjeżdżać z miasta? Hę? Przygód szukamy? - odziany w lekko zaśnieżoną zbroję strażnik podszedł do Meg, przyglądając się jej podejrzliwie.
- A odkąd to nie można wyjeżdżać z miasta? Kto mi zabroni?

* Był to największy zegar w Ojacji, wbudowany w ratusz burmistrza Reda. Dzięki temu, że ratusz był najwyższym budynkiem w mieście, a miasto nie miało wysokich budynków, zegar był dobrze widoczny z każdej części miasta. Jednak nie to czyniło zegar wyjątkowym. Bowiem zegar ten chodził do tyłu. W istocie, godzina siódma oznaczała godzinę piątą popołudniu. Mimo prób naprawienia, zegar nadal chodził do tyłu. Konstruktor nie jest znany – kto by nie chciał, gdy Burmistrz za twoją głowę wyznacza przysłowiową połowę królestwa i rękę księżniczki.

- Na przykład ja – strażnik stuknął ręką w żelazny tors. - Albo Phil – wskazał na strażnika opartego o mur, palącego papierosa.
- A co panienka ma na wozie? - powiedział drugi, dogaszając papierosa.
- Siano, nie widać? Wiozę do stajni mego ojca. - rozpromieniła się Meg.
- Coś mi tu śmierdzi. - pierwszy strażnik świdrował wzrokiem to Meg, to wóz.
- Uhm... - Phil podrapał się po głowie. - Obawiam się, że to ja. - skrzywił się.
- Nie o tym mówię, łamago! - spojrzął na Phila. - Posłuchaj, damy Ci przejechać, nie sprawdzając co też ciekawego kryje się pod tym stogiem siana ani czyja noga wystaje z tyłu wozu, jeśli przez przypadek upuścisz na ziemię 50 funtów, odjedziesz, a ja je przypadkiem znajdę i podniosę, jak gdyby nigdy nic.
- Ale to wszystko co mam! - powiedziała zdesperowana Meg.
- Phil, sprawdź wóz.
- No już dobrze, dobrze. - Meg wstrzymała ich gestem ręki. Zajrzała do swojej torby, wyjęła banknot 50 funtów i upuściła go na bruk.
- Wio! - strażnik klepnął konia, po czym wóz odjechał. Odwrócił się i razem z Philem oglądali, jak wóz odjeżdża. Gdy skręcił za bramą, strażnik schylił się w miejsce w którym jeszcze pół minuty temu leżał banknot. *
- Pieprzeni złodzieje, niech ich piekło pochłonie.

Słońce już prawie zniknęło za horyzontem** gdy jadąc w milczeniu, Aerosmith oraz Meg siedzieli na wozie, jedząc kanapki zrobione przez Toma przed wyjazdem.

- Brad, powożący wozem, odwrócił się.
- Jeśli dobrze pójdzie, jutro popołudniu będziemy w Wielkim Jabłku.
 - A potem – witaj chwało, alleluja dla nas! - zaśmiał się Joe.
 - Oby wam się udało – Meg oparła swoją głowę na ramieniu Joego, a ten objął ją czule.
 - Nie może się nie udać. - powiedział Tom, kładąc się na sianie. - Idę spać, dobranoc.
 - Co powiedziałaś? - Steven podniósł oczy znad małego notesu w którym coś pisał.
 - Że idę spać.
 - Cicho tam. Próbuje zasnąć. - wymamrotał Joey.
 - Nie, nie. Joe, co powiedziałaś przed chwilą?

* W Ojacię, wszystko co leży na ulicy jest natychmiast zabierane przez osoby trzecie. Oczywiście, tyczy się to tylko wartościowych przedmiotów.

** Słońce ma swoje humory. Raz wstanie za późno, raz za wcześnie zajdzie, cwane stworzenie. Wie o tym każdy, kto chociaż raz zasnął w Poniedziałnik.

– Witaj chwało, alleluja dla nas? - zdziwił się Joe, nie bardzo wiedząc o co chodzi Stevenowi.

– Tak! - ucieszył się Steven dopisując coś w notesie. - Mamy to! Dajcie mi chwilę.

– Brad, zmień się ze mną. Prawie śpisz. - Joe wstał, ostrożnie układając śpiącą już Meg na sianie

– Dzięki. - powiedział, oddając lejce. Napił się wody z bukłaka i położył spać, obok Toma i Joeya.

Joe rozejrzał się po okolicy. Z obu stron drogi, na polach rosło dojrzewające już zboże, mieniające się złocistymi kolorami w świetle zachodzącego słońca. Gdzieś za nimi majaczyła sylwetka Ojacię. Niecałą milę przed wozem znajdowało się skrzyżowanie traktów, największe na Wielkim Kontynencie. Codziennie dziesiątki wozów kupieckich przejeżdżało tamtędy w pogoni za pieniędzmi.

Piętnaście minut minut później, gdy dojechali do wielkiego, wybrukowanego skrzyżowania, Steven szturchnął powożącego Joego a ten zatrzymał wóz.

– O co chodzi, Steven? - spytał.

– Zobacz to. - wyrwał kartkę i podał ją Perry'emu.

Joe zerknął na kartkę:

*Żyjemy na skraju miasta
Tam, gdzie żyjemy, nie ma żywej duszy
Ludzie się zjeżdżają
Wszystko co robimy to tylko wyszczerzamy zęby
Mówię wynośmy się stąd
Ponieważ miasto się przenosi
Powiedziałem, wynośmy się stąd
Ponieważ miasto przenosi*

*Powiedz, kogo znasz
Ja Ci powiem też
Zobacz się z moim przyjacielem, on Cie wyzwoli
Powiedz mi co widzisz i
Może ja też pójdę
Nikt nie zna drogi, może ja znam?*

*Nikt tam nie chodzi
Nikt się tam nie pokazuje
Nikt nie wie, gdzie możesz mnie znaleźć, tak*

*Witaj chwało, alleluja ci!
Co to za historia, przez którą idziemy?
Żyć jak król wszystkiego co najlepsze
Harując jak wół w rock n' rollowej kapeli.*

*Wynosimy się stąd, wynosimy!
Wynosimy, bez wątpienia!
Wynosimy, idziemy daleko
Wynosimy, o tak!*

*Nikt tam nie chodzi
Nikt nie pokazuje gdzie
Nikt nie wie, gdzie możesz mnie znaleźć
Nikt nie wie, nie
Nikt nie pokazuje gdzie
Nikt nie wie, gdzie możesz mnie znaleźć*

*Na równi z Bogiem
I jesteś w harmonii ze wszechświatem
Rozmowa z samym sobą
I usłyszysz co chcesz wiedzieć
Wznieść się ponad
Bo poniżej jest tylko gorzej
Życie w czasie
Weźmie Cię tam gdzie chcesz*

*Gdzie zamierzasz iść, gdzie zamierzasz iść
Dokąd zmierzasz
Dokąd zmierzasz
Dokąd zmierzasz
Ah, ah, ah, ah, ah, ah*

*Witaj chwało, alleluja ci!
Co to za historia, przez którą idziemy?
Żyć jak król wszystkiego co najlepsze
Harując jak wół w w rock n' rollowej kapeli.*

*Wynosimy się stąd, wynosimy!
Wynosimy, bez wątpienia!
Wynosimy, idziemy daleko
Wynosimy, o tak!*

*Nikt tam nie chodzi
Nikt nie pokazuje gdzie
Nikt nie wie, gdzie możesz mnie znaleźć
Nikt nie wie, nie
Nikt nie pokazuje gdzie
Nikt nie wie, gdzie możesz mnie znaleźć
I w kółko*

*Żyjemy na skraju miasta
Tam, gdzie żyjemy, nie ma żywej duszy
Ludzie się zjeżdżają
Wszystko co robimy to tylko wyszczerzamy zęby
Mówię wynośmy się stąd
Ponieważ miasto się przenosi
Powiedziałem, wynośmy się stąd
Ponieważ miasto się przenosi*

Oddał kartkę Stevenowi.

- To... to nasza pierwsza piosenka – odparł zdumiony Joe.
- Tak. I nie powstałaby, gdyby nie ty. - Steven usiadł obok Joego. -
Wiedziałem, że czegoś jej brakuje. A ty nagle powiedziałeś te cztery słowa, i wszystko
złożyło się w całość.
- Mam pomysł. Przytrzymasz lejce? - Joe obrócił się. Z między siana i
śpiących członków zespołu wygrzebał futerał na gitarę. Otrzepał go, po czym otworzył,
wyjmując gitarę z żółto-złotym środkiem i podpalanymi na czerwono bokami. Odwrócił
się z powrotem, trzymając gitarę na kolanach.
- Musimy napisać muzykę do tej piosenki. - powiedział, gładząc gryf.
- Mamy na to całą noc. - Steven uśmiechnął się, popędził konie i zanucił
pod nosem. - *Witaj chwało, alleluja ci!*